

Wyżej niż kondory

Wiktor Ostrowski

**Wydawnictwo Sklepu Podróżnika
Warszawa 2018**

Baqueanos, kaktusy i muły

Dzwoniąc olbrzymimi ostrogami, zjawili się nasi *baqueanos*. Było ich czterech: Leoncio Parra i Manuelo Donoso, i dwóch braci – Ignacio i Alfredo Flores. Od dziś mieli być naszymi jedynymi towarzyszami przez cały czas pobytu i prac w górach Ramada, przez szereg tygodni i miesiące mieli służyć nam pomocą, opiekować się zwierzętami, przeprowadzać transporty juczne. Jak ułożą się wzajemne stosunki? Co to za ludzie?

Zwykle moment pierwszego poznania jest bardzo ważny: ludzie obserwują się nawzajem, niejako spod oka, wyrabiają się pierwsze opinie. Ze spokojnych i jakby zamkniętych twarzy *arrieros*¹ nic nie można było wyczytać. Wiedzieliśmy o nich tyle tylko, że byli to ludzie prości, mieszkający małej osady rzuconej na samo pogranicze świata cywilizowanego, zagubionej wśród dolin i grzbietów Prekordylierów. Lecz gdy spojrzano się im prosto w oczy, gdy zobaczyło się ich szeroki i serdeczny uśmiech – nabierało się jakiegoś zaufania, przekonania, że to są ludzie właściwi, że wszystko będzie dobrze.

Wybiegnę trochę naprzód i już teraz stwierdzę, że pod tym względem nie omyliliśmy się ani o jotę. Wspólne przeżycia, dalekie wędrówki i niebezpieczne przeprawy stworzyły nasz wzajemny stosunek. Nie byli oni dla nas tylko pomocnikami, tylko poganiaczami mułów i koni – wkrótce stali się serdecznymi przyjaciółmi i wspomnienia o tych zacych i dzielnych

¹ Poganiacze mułów (przyp. red.).

ludziach pozostaną na zawsze w naszej pamięci. Zawdzięczaliśmy im dużo. Bardzo dużo się od nich nauczyliśmy. Przez cały czas naszej współpracy nie powstał nigdy najmniejszy konflikt, nigdy nie widzieliśmy ich skłóconych albo niezadowolonych, wszystkie trudy znosili ze stoicką wprost wytrzymałością i pogodą ducha, zawsze chętni do podjęcia każdego wysiłku, zawsze gotowi służyć pomocą. Ich stosunek do nas był prosty, szczery i nacechowany tą nadzwyczajną życzliwością, jaką spotyka się wśród ludzi oderwanych od zgiełkliwych ognisk cywilizacji, obcujących stale z surową przyrodą. Nie było w nich ani cienia jakiegokolwiek uniżoności ani służalczości – wprost przeciwnie: z całego zachowania się, z ich postawy promieniowała prawdziwa godność, chciałoby się powiedzieć – dostojność. Nawet z prostych ubrań ludzi pracy, z tego dziurawego poncho, z pomiętego kapelusika, z kolorowej chustki uwiązanej na szyi – biła ta dostojność. Bo to poncho, zarzucone na ramię, układało się w malownicze fałdy, ten kapelusik z podpinką pod brodę, przekrzywiony lekko na bok, siedział twardo, zawadiacko i... dumnie, i ta chustka na szyi wiązała się jakimś węzłem wrodzonej elegancji. A ogromne, srebrne ostrogi, choć często przytwierdzane nie do pięknych butów, lecz uwiązane do starych i zdartych *alpargatos* – płóciennych pantofli – lub wprost do gołych pięt dźwięczały melodyjnie i powtórze: godnie.

Ludzie o nieposzlakowanej uczciwości i prawości, najmiłsi towarzysze w pracy i serdeczni przyjaciele z dalekich szlaków. A w swoim zawodzie jako *baqueanos* i *arrieros* – mistrzowie nad mistrzami! Pisząc o tym, nie tylko spłacam dług wdzięczności, jaki im jesteśmy winni, ale przede wszystkim chcę zaznaczyć mocno i kategorycznie, że opinie i jakże często niepochlebne zdania, wypisywane niejednokrotnie we wspomnieniach rozmaitych zagranicznych podróżników po Kordylierach o stosunkach z podgóorską ludnością, są niewłaściwe i wielce krzywdzące. Jeżeli były drukowane w celu wprowadzenia momentu sensacyjnego, to są zwykłą nieuczciwością. Nie myśląc, by nasi przyjaciele z dalekiego Tamberias byli wyjątkami, składam im ciepłe, bardzo ciepłe słowa przyjaźni.

*

Spojrzawszy ukradkiem na nasze nogi Alfredo zniknął gdzieś na chwilę i wrócił, trzymając trzy pary ostróg. Rzeczywiście, nie pomyśleliśmy o tak potrzebnej części ekwipunku turystycznego w Andach! Niestety w całej

osadzie zdobył tylko trzy pary, na każdego jeźdźca przypadła więc tylko jedna ostroga. Wyglądała jednak pokaźnie – zamiast zwykłego kółka brzęczała ogromna i ostra gwiazda. Powstało pytanie: którą stopę uzbroić w to narzędzie końskich tortur, prawą czy lewą? Adam filozoficznie zdecydował:

– W dni parzyste będę nosił na pięcie prawej, w nieparzyste na lewej. Zastąpi to poniekąd... kalendarz!

Uprzejmość i przewidywania gubernatora szły tak daleko, że już były przygotowane dla nas siodła. Zwykle kawaleryjskie siodła wojskowe. Szczegół bardzo istotny, jeżeli weźmie się pod uwagę pełną naszą nieznajomość sposobu posługiwania się siodłami miejscowymi, czyli stosem owczych skór tworzących wygodne i miękkie fotelowate siedzenie, ale dla... przyzwyczajonych! Takie siodło, *montura criolla*, jest torturą dla *gringo*!

Ładowanie mułów bagażowych... Obrazek niezapomniany! Pierwszego dnia wprowadził nas po prostu w osłupienie, ale również i długo potem nie pomijałem żadnej okazji, by podziwiać te mule harce i maestrię *arrieros*! Cały bagaż mieliśmy zapakowany w lekkie (potem okazało się, że zbyt lekkie i zbyt delikatne) skrzynki dyktowe, zrobione jeszcze w Polsce według wzorów i obliczeń Adama. Były wąskie, wysokie, otwierane z góry. Waga każdej po naładowaniu wynosiła od czterdziestu do pięćdziesięciu kilogramów. Dwie skrzynie stanowiły ładunek jednego muła lub konia. Ale muły były dzikie, wierzgały, kąsały, tarzały się w piasku, zdawało się, koniecznie chciały fikać kozły przez głowę! Jak to ładować?

Przede wszystkim trzeba było z wystraszonego i beczącego stada wybrać, czyli po prostu złapać, właściwe zwierzę. Rzecz wyglądała prosto – na papierze. W rzeczywistości przedstawiała się mniej więcej tak: lekkim krokiem, jakby od niechcenia, zaczynał krążyć *baqueano* koło stada, w rękę trzymał zwinięte lasso. W odpowiedniej chwili – błyskawiczny rzut, świst rozwijającej się w powietrzu skórzanej pętli, zarycie się muła wszystkimi czterema nogami już nie pomagało, złapanego na lasso podciągało się bliżej. Opierał się tak długo, dopóki nie zarzuciło mu się na głowę poncho i końców tego ostatniego nie zawiązało się na mulej szyi. Oślepienie w ten sposób zwierzę stało już spokojne i pokorne. Ładowano więc bez obawy obie skrzynie, ściągano mocno linkami, sprawdzano jeszcze raz węzły, a potem ostrożnie zdejmowano zdradzieckie poncho. W tym momencie dopiero następował prawdziwy cyrk! Uwolnione z ciemności zwierzę

dostawało szalę, wierzało do przodu i do tyłu, wyginając w łuk grzbiet, skakało w powietrzu niczym śmigła kozica, siadało na zadzie, rzucało się na bok i w dzikim wałkowaniu robiło pełny obrót. I to wszystko z ciężkim ładunkiem na grzbiecie! Z naszymi „lekkimi” skrzyniami!

Jak długo trwały takie harce? To zależy. Albo cały bagaż rozsypywał się w dużym promieniu i uwolnione od ciężaru zwierzę, wlokąc za sobą resztki porwanych sznurów, wracało triumfalnym galopem do stada, albo zmęczone bezowocnym wysiłkiem – rezygnowało, opuszczało głowę i ponuro medytowało nad swoim mulim losem. W pierwszym przypadku – cała zabawa zaczynała się na nowo, w drugim – *baqueanos* zabierali się do łapania następnej ofiary i ładowania następnych juków.

Ale jak oni w końcu poprowadzą za sobą całość? Czyż każdemu z nas przyjdzie ciągnąć za sobą przynajmniej po dwa znarowione juczne muły?

To pytanie nie tylko intrygowało, lecz także niepokoiło. Rozwiązanie kwestii było oryginalne i zgoła nieoczekiwane. Najstarszy z *arrieros* – Ignacio, stary wyga górski – wskoczył na swego wierzchowca i nawet się nie oglądając, ruszył przodem. Na długim sznurze prowadził za sobą kościstą, o nieokreślonej maści klacz. Szła spokojnie, zwiesiwszy melancholijnie głowę, nie niosąc na grzbiecie żadnego ładunku. Czyżby zapasowe zwierzę? Uwiązany na jej szyi dzwoneczek zaczął melodyjnie pobrzękiwać, a na jego dźwięk srogo objuczone muły podniosły pyski, zastrzygły długimi uszami i... ruszyły jej śladem. Ruszyły same! Wyciągnęły się długim sznurem, pysk przy ogonie poprzednika, jeden za drugim, nie popędzane, jakby doprawdy zaczarowane. Pochód jucznych mułów zamykał drugi *baqueano*. Takie proste!

– Nic nie rozumiem – irytował się doktor. – Co ma muł do klaczy? Przecież to są zwierzęta bezpłodne, bezpłciowe, płód krzyżowania osła z koniem! Czym je oczarowała ta klacz? Chyba nie zahipnotyzowała brząkaniem dzwonka?

– A może – wtrąciłem nieśmiało – może to głos krwi, stosunki... rodzinne? Może ta klacz to ich matka?

– Zwariowałaś? Matka całego stada? Musiałaby być wiekową klaczą! Zresztą czy w tym dziwnym krzyżowaniu odzywa się głos krwi i posłuszeństwo względem rodzicielki? Zapytamy Adama. On przecież studiował literaturę dotyczącą Andów i w ogóle...

Adam podniósł wieloznacznie brwi i nie wyjmując z ust fajki, zaczął cedzić przez zęby coś na temat teorii Darwina, cyrkowej tresury i hipnotyzmu... Krótko mówiąc – Adam też nie wiedział.

*

W Tamberías pożegnaliśmy się na długo z widokiem zielonych drzew i krzewów. Pożegnaliśmy się również z widokiem ludzkich twarzy. Zerwaliśmy wszelką łączność z kulturą i cywilizacją. Rozpoczęło się życie prymitywne, twarde, w bezpośrednim kontakcie z surową przyrodą. Długa droga nasza prowadziła przez olbrzymie, puste doliny i wysokie, mroźne przełęcze. Posuwaliśmy się wprost na zachód, aby przerzuciwszy się przez grzbiety pasma Cordillera de Ansilta skręcić ostro na południe, w stronę Ramady.

Pierwsze dni kołysania w siódlach dały się nam mocno we znaki. Nie byliśmy jednak kawalerzystami. Wieczorem z trudem zsuwaliśmy się z siodeł i chodziliśmy dziwnie rozkołysanym krokiem, ledwo przebierając szeroko rozstawionymi i pozbawionymi wszelkiego czucia nogami...

Tylko dwa razy dziennie jadałliśmy posiłek podstawowy: rano przed wyruszeniem i wieczorem, po rozłożeniu obozowiska na noc. Południowy posiłek, a więc i związany z nim postój, skasowaliśmy ze względu na pospiech. Wędrówka całej *tropy*² trwała od rana do wieczora, codzienne etapy wyliczane były tak, aby na noc dotrzeć do brzegu potoku, gdzie można by znaleźć choć trochę paszy dla mułów. Często bywało, że w ciągu całego dnia nie spotykaliśmy wcale wody.

Przezornie napełnialiśmy kieszenie jakąś przegryzką, a jeszcze troskliwiej pilnowaliśmy, aby w termosach zabrać wodę lub gorzką herbatę. Wiadomo przecież, że bardziej od głodu dokuczliwe jest pragnienie.

Pogoda przez cały ten czas była wprost nadzwyczajna! Na niebie ani śladu chmur. Gdy spuszczaaliśmy się do dolin, suchy upał buchał niczym z pieca, ale wyżej, na zboczach i przełęczach, już trzeba było wciągać swetry. Dawała się we znaki wysokość.

Zepsuci stałością pogody, na noc nie rozstawialiśmy namiotów. Obozowisko nasze wyglądało trochę na chwilowy postój śpieszących się gdzieś

2 Tropa to grupa jucznych mułów z poganiaczami (przyp. red.).

nomadów. Uzbierawszy garść żywiczych korzeni kolczastej *yarety*³, rozpaliliśmy małe ognisko. Na jego jasnej plamie ostro rysowały się ciemne sylwetki siedzących na zdjętych siodłach *arrieros*. Jak indyjska fajka pokoju krążyła z rąk do rąk sakramentalna *mate*⁴, w przysuniętych do ognia garnkach gotowała się nieskomplikowana strawa.

Z tą „nieskomplikowaną strawą” bywało jednak rozmaicie. Koledzy osądziли, że to właśnie ja mam wybitne zdolności kulinarne. Chętnie przystałem na to, zastrzegając naturalnie, że miła funkcja mycia brudnych naczyń nie jest na stałe przywiązana do osoby kucharza i kolejno obciąża wszystkich. Pewnego wieczoru obwieściłem towarzyszom, że dziś poczęstuję ich wspaniałą grochówką z wędzonym boczkiem. Nasypawszy do dużego garnka grochu podkładałem pod niego suche korzonki i nasłuchiwałem wesołego bulgotania wrzącej grochówki. Trwało to długo, ale groch jakoś wciąż pozostawał twardy. Gotowałem uparcie. Znudzeni długim czekaniem, no i odpowiednio głodni koledzy zjedli wreszcie sam boczek, otworzono jedną, drugą puszkę konserw, odprawiono ceremonial picia *yerba mate* – a groch wciąż się gotował i... pozostawał twardy. Wszyscy poszli na koniec spać, a ja – jak samotny duch – pilnowałem wciąż ogniska i gotowałem obiecaną grochówkę. Była już chyba północ, gdy nie wytrzymałem i dobrze zasłużony sen zamknął mi oczy. Raniutko, przed świtem, znów rozpaliłem ogień i dogotowywałem uparty groch, tym razem projektując grochówkę na śniadanie. Koledzy nie ukrywali swej dezaprobaty; śniadanie składało się z zimnych konserw i kawy. Już juczne zwierzęta, po codziennym cyrku ładowania, pokornie czekały na magiczny dźwięk dzwoneczka swojej klaczy, już Alfredo, sprawdzwszy popręgi u osiodłanych koni, rzucił swoje:

– *Listo, señores.*

A ja jeszcze ten groch gotowałem...

Nie dałem jednak za wygraną. Zlałem z garnka wodę, przytroczyłem go razem z na wpół ugotowanym grochem do siodła i wiozłem cały dzień,

3 *Yereta* – pustynna roślina występująca na dużych wysokościach w Ameryce Południowej (przyp. red.).

4 Napar z liści *yerba mate* (ostrokrzewu paragwajskiego) jest tradycyjnym napojem mieszkańców Ameryki Południowej, przygotowywanym i pitem w ramach towarzyskiego rytuału ze specjalnego naczynia (zwanego *guampa* lub *mate*) za pomocą rurki *bombilli* (przyp. red.).

aby wieczorem – gdy tylko wybrano miejsce następnego noclegu – rzucić się do rozpalania ognia i dalej gotować uparty groch.

Koledzy się zbuntowali. Kolację gotował Adam, rzucając w moją stronę złe spojrzenia, ja jednak tkwiłem nad wrzątkiem i przyszlą grochówką.

Już cisza nocna zapadła nad uspionym obozowiskiem, gdy wreszcie zrezygnowałem, wściekłym kopnięciem wyrzuciłem garnek na dogasające ognisko i zabrałem się do siania legowiska. Adam jeszcze nie spał i leżąc, popykiwał nieodłączną fajeczkę.

– Słuchaj, Adamuszkule – zacząłem mu się zwierzać po cichu – zanotuj ty w swoim dzienniku, że argentyński groch to nie groch! To chyba jakiś śrut!...

– Już zanotowałem, spójrz! – Adam wyciągnął z leżącego obok mapnika dziennik i poświecił latarką. Drobne literki biegły równiutkimi liniami; jedno zdanie podkreślone było mocno ołówkiem:

„Wiktor dwa dni gotuje groch na wysokości powyżej 3000 metrów. Naturalnie – bez skutku. Doświadczenia zebrane na własnej skórze są najcenniejsze”.

Bez słowa, ale z głębokim westchnieniem wlałem do śpiwora.

*

Noce w Kordylierach! Są warte całego poematu, i to pisanego piórem artysty! Cóż... odczuwałem ich piękno, przeżywałem, na zawsze pozostaną cudownym wspomnieniem, ale opisać chyba nie potrafię!

Prowadząc swoją tropę dalej i dalej, jak już pisałem, nie rozbijaliśmy na noc namiotów, nie rozpakowywaliśmy tobołów z materacami pneumatycznymi i innymi wymysłami komfortu. Szkoda było czasu – pogoda była zbyt piękna. Na twardą Matkę Ziemię rzucaliśmy po prostu owczą skórę wyjętą spod siodła, samo siodło pod głowę i jeszcze wierny towarzysz – śpiwór. Dla zmęczonego ciała było to łożo królewskie i doprawdy niejeden król mógłby nam pozazdrościć.

Noce te były zbyt piękne, bym mógł zasnąć natychmiast. Leżałem długo, na wznak, zapatrzony w ciemność doliny i w jaśniejące jeszcze wierzchołki. Znacznie później zęgnały je ostatnie promienie słońca, które już dawno zaszło za garbatym horyzontem. A na niebie zapalały się gwiazdy, z początku nieśmiałe, nieliczne, wkrótce wysypujące się jak

z rogu obfitości, pokrywające srebrzystym, rozmigotanym kobiercem obniżającą się czern firmamentu. Coraz jaśniejsze, większe i niższe... Tak, tak! Właśnie – niższe! Wydawało się, że spływają ku nam z wysokości, że wystarczy sięgnąć ręką... Dawno już nie widziałem naszej północnej Wielkiej Niedźwiedzicy, zastępował ją pochylony z lekka Krzyż Południa.

Cisza... Cisza sanktuarium przyrody. Lekki szmer przepływającego w pobliżu potoku górskiego, czasem stuk kamienia potrąconego kopytem skubiącego skąpą trawę konia – i nic! Absolutnie nic – cisza!

I świadomość, że oto jesteśmy sami, że od najbliższego człowieka dzieli nas parę dni konnej jazdy. Ta samotność też należała do ciszy!

Czuło się rozkosz zmęczenia. Jak trudno to wytłumaczyć! Rozkosz zmęczenia? Przecież istnieje, przecież przeżywa się ją, gdy się jest zdrowym, silnym, gdy mięśnie odprężają się po całodziennym wysiłku, krew spokojnie krąży w żyłach, ma się poczucie dobrze zapracowanego odpoczynku, a pierś tak głęboko oddycha pachnącym górskim powietrzem! Bo powietrze górskie pachnie! Nie ma tu aromatu kwiatów, ziół leśnych i drzew żywicznych – ani żwir kamienny, ani naga skała też nie mają zapachów – a tymczasem czujesz zapach samego powietrza tej pustyni górskiej! Może to ta jego ostrość – aż łaskocząca przy oddychaniu? Może ta jego rześkość – upajająca radością życia? Może to ta jego przezystość nieskalana – z niczym nie dająca się porównać? Bo ja wiem? Nie da się tego zapachu zbadać naukowo, zakwalifikować, zamknąć do butelki i opatrzeć formułką chemiczną. Trzeba przeżyć i po prostu – czuć! Ale opisać tego niepodobna, nie sposób, nie ma słów...

A jak wytłumaczyć tę pewność, tę spokojną pewność, że jutro rankiem, po nocy tak spędzonej, bez wszelkich snów i koszmarów, obudzisz się nagle, otworzysz oczy, nie zaspane i opuchłe, a ciekawe budzącego się dnia, że uśmiechniesz się szeroko do różowości rodzącej się na wschodzie, jednym susem wyskoczysz z ciepłego śpiwora i będziesz parskał i pluskał się w zimnym potoku, wycierał włochatym ręcznikiem lub wprost garścią suchej trawy całe ciało – aż stanie się czerwone i gorące, gotowe do dalszych wysiłków? Że będziesz czuł radość życia aż w koniuszkach palców pulsującą?! Nie ma słów...

Trudno doprawdy opowiadać systematycznie, dzień po dniu, o tej części naszej wędrówki. Boję się znudzić czytelnika na pozór drobnymi i nic nie znaczącymi szczegółami tamtych dni. Jednak proszę pamiętać, że te drobnostki stanowiły dla nas wówczas wypadki pierwszorzędnej wagi, natomiast wszelkie światowe wydarzenia interesowałyby nas bardzo mało – gdybyśmy o nich wiedzieli. Będąc w innej sytuacji, poza kresem warunków życia normalnego, żyliśmy własnym życiem.

Nauczyliśmy się w tym okresie wielu rzeczy prostych, tak potrzebnych w tym prostym życiu. Uczyliśmy się od naszych nieocenionych *arrieros* sztuki łapania rozwydrzonych i wściekających się mułów, tych ruchów niby powolnych, jakby skradających się kroków i nagłych chwytów w odpowiednim momencie. Podpatrywaliśmy sztukę mocowania ładunku na grzbietach i skomplikowanych węzłów. A nawet tego oklapniętego i na pozór nieefektownego kiwania się w siodłach, które jednak pozwala bez zmęczenia przebywać konno ogromne przestrzenie.

Dowiedzieliśmy się, że piękny i drogi hełm tropikalny nie tylko na ulicach San Juan wywoła kpiące uśmiešky, lecz upuszczony na ziemię potrafi tak przerazić wierzchowca, że niefortunny eksplorator wykona niewdzięczne salto przez łeb zdenerwowanego rumaka. Jeszcze wiele innych cennych doświadczeń zdobyliśmy...

Zgubienie podkowy przez wierzchowca... Czym to pachnie? Okułały koń oczywiście idzie luzem, a tobie grozi perspektywa dzikich harców na grzbiecie bestii apokaliptycznej (czytaj – zapasowy muł bagażowy!), zlatywanie z grzbietu takiego diabła i udawanie kawalerzysty przed *baqueanos* argentyńskimi, przed ludźmi, którzy chyba rodzą się już na siodle i jeżdżą jak młode bogi.

Pewnego dnia doświadczenie Adama wzbogaciło się cenną pozycją i muszę o niej poplotkować szczegółowiej. Gdy ładowano tropę do porannego wymarszu, Adam myszkował wśród sąsiednich skał. Raptem zjawił się, sadząc ogromnymi susami, wymachując desperacko rękoma, milcząc – ale z ustami szeroko otwartymi!

Zachowywał się tak dziko, że zaalarmował nas wszystkich. Z oczu ciekły mu łzy strumieniami! I te usta otwarte w niezwykłym grymasie!

- Co się stało? Co z tobą?
- Aaaaaaaaaaaaaaaaa!...

– Adamie! Na litość boską, mówże! Co się stało?
– Aaaaaaaaaaaaa... – i rozpaczliwe wskazywanie w głąb gardła, i nieme błaganie w załzawionych oczach.

– Ząb cię boli? Masz skurcz gardła? Dusisz się?

Energiczne przeczenie głową, rękoma i nawet nogami!

I znów to okropne „Aaaaaaaaa...”. Z gębą wciąż otwartą Adam rzuca się wreszcie do swego mapnika, wyciąga notes i coś w nim szybko pisze. Czytamy przez ramię: „Zjadłem kaktus. Nie śmiejcie się, a wyjmijcie kolce z języka i podniebienia!”

Wiele cennych zdjęć – unikatów przywiozłem z naszej wyprawy andyjskiej. Zginęły w czasie wojny. Ale wiele bym dał za to jedno, jedyne zdjęcie – Adama siedzącego na głazie, ze złym błyskiem w koso patrzących na fotografa oczach, i naszego Wampira z całą powagą wyciągającego pin-cetą z otwartych ust igielki kaktusa, których tam ponoć odnalazł milion! Co bym dał za odzyskanie tej kliszy!

Adam niechętnie udzielał wyjaśnień: kaktusik był mały, taka szyszeczka wielkości gołębiego jaja, z wyglądu przypominał mu pewien gatunek, gdy go wziął w palce, nic nie kłuł, natomiast gdy włożył w usta...

– Ale po cóż, do diabła, wsadzałeś go w usta?!

To pytanie poszkodowany zbył pogardliwym milczeniem, natomiast w słynnym już dzienniczku podpatrzyłem takie zdanie: „Karol May – błagier. Kaktusy nie są jadalne”.

Z miną pełną życzliwości poradziłem mu uzupełnić tę naukową notatkę sentencją zapisaną na jednej z poprzednich stron, że: „...doświadczenia zebrane na własnej skórze są najcenniejsze...”.

Doprawdy nie wiem, dlaczego nie skorzystał z mej rady, natomiast długo mówił o nikczemności duszy siedzącej w ciele przyjaciela. Zresztą może to nie o duszy wspominał, bo mówił bardzo niewyraźnie – bolał go język i całe podniebienie.

Przekraczając pasmo Ansilta, muły nasze miały pierwszy, naprawdę twardy orzech do zgryzienia. Trzeba było z całą tropą, z całym ładunkiem przejść przez przełęcz o wysokości czterech tysięcy trzystu metrów. To znaczy przez przełęczkę zaledwie pięćset metrów niższą od najwyższego szczytu Alp – Mont Blanc! Ciśnienie barometryczne wskazywało około czterystu pięćdziesięciu milimetrów, a znane są przypadki występowania

u ludzi choroby górskiej nawet niżej. Byliśmy bardzo ciekawi, jak dadzą sobie radę objuczone stukilowymi ładunkami muły.

Ten egzamin zdały – pierwsza klasa! Sapiąc i parskając, gramoliły się po ruchomych zboczach. Sypkie piargi i toczące się kamienie podcinały nogi, muły padały, obsuwały się, zwały się na boki, ale znów wstawały i pięły się wyżej i wyżej. Na pyskach pojawiała się piana. Robiły bokami, dysząc ciężko. Obok nich uwijali się z zachęcającymi okrzykami *baqueanos*, na przedzie, ciągniona lassem Ignacia, gramoliła się klacz, dzwonek u jej szyi wydzwaniał dziwne szaleństwo. Na przełęczy muły stanęły w komplecie.

Właściwie nie wiem, dlaczego w opisach podróży i zdobyczy andyjskich tak mało i tak rzadko wspomina się o roli i znaczeniu mułów. Jeżeli na Bliskim Wschodzie wielbłąd jest słusznie zwany okrętem pustyni, a jego wytrzymałość i niewybredność są podkreślane nieomal z szacunkiem, podobne uznanie bezwarunkowo należy się mułom w Andach! Nie wiadomo również, dlaczego w dalekiej Europie muł jest poniekąd zwierzęciem pogardzanym. Nawet powiedzenie do kogoś „ty mule jeden!” poczytywane bywa za obrazę. Cóż za niesprawiedliwość! Zwierzę tak wytrzymałe, tak niewybredne, tak cierpliwe. Przy pewnej życzliwości i pobłażaniu można by je nawet uznać za zwierzę piękne! W czasie naszej wyprawy andyjskiej nabraliśmy dla mułów takiego szacunku i uznania, że powiedzenie „ty mule jeden!”, bardzo przepraszam, ale przynajmniej w odniesieniu do wielu ludzi – uważamy za... komplement.

Spis treści

OD REDAKCJI	3
ZAMIAST WSTĘPU	7
DLACZEGO ANDY?	14
ORGANIZACJA EKSPEDYCJI	20
EKWIPUNEK I ŻYWNOŚĆ	35
MORZEM, KOLEJĄ, SAMOCHODEM...	49
BAQUEANOS, KAKTUSY I MUŁY	62
DO STÓP MERCEDARIO	73
ZNAK ZWYCIĘZCY	82
SKARBY LAGUNA BLANCA	105
DO DOLINY COLORADO	114
ALMA NEGRA I LA MESA	132
ACONCAGUA	152
NAJPIĘKNIEJSZA NOC	175
PO WIELU LATACH	198
POSŁOWIE	216
O UCZESTNIKACH WYPRAWY	246
ANDY PO LATACH	261